

Paweł Wieczorkiewicz

**ROZWAŻANIA**  
**O KAMPANII 1939 ROKU**



**A**maranty spięte pod szyją, zieleń, stal, granat i czerń mundurów, czerwień krwi, krzycząca biel bandaży i kapitulacyjnych flag. Narodowa epopeja i **największa tragedia w dziejach ojczystych**, wielkość i małość, wypełniane do końca niewykonalne rozkazy i dezercje, ostatnie kule dla siebie i haniebne ucieczki tych, którym Rzeczpospolita powierzyła swych żołnierzy i którzy powinni trwać z nimi do ostatniego naboju, Bołtuciowie i Dąbkowie, ale i Rómmłowie i Dębowie-Biernaccy. Zapowiedź sławy obrońców angielskiego nieba, bohaterów Tobruku i Falaise, ale i ponury zwiastun Katyńia i warszawskiego powstania. Wrzesień 1939.

Od razu nasuwa się istotny problem terminologiczny. Spór o adekwatną nazwę wojny – polsko-niemieckiej (ale i polsko-sowieckiej!) trwa niemal od jej zakończenia. Pierwsze wojenne wychodźcze opracowanie tyczyło „kampanii wrześniowej”, choć pionierskie, którego nb. współautorem był sam marszałek Śmigły, dawało alternatywę, umieszczając na pierwszym miejscu termin „wojna polsko-niemiecka”<sup>1</sup>. Tylko o „kampanii”, ze zdumiewającą jednogomyślnością, pisano jednak póź-

<sup>1</sup> Gel W. [W. Lipiński], Szański A. [E. Rydz-Śmigły], *Wojna polsko-niemiecka. Kampania wrześniowa w Polsce w 1939 r.*, [Warszawa 1941], druk konspiracyjny.

niej w Wielkiej Brytanii i w kraju<sup>2</sup>. Ogólnie przyjęta terminologia znajdowała odzwierciedlenie i w literaturze niemieckiej, w której dominowało zdecydowanie bliźniacze określenie – *Der Feldzug in Polen*. Wyjątkiem był płk Roman Umiastowski, obdarzony nie tylko sprawnym, ćwiczonym piórem, ale i wyobraźnią historyczno-polityczną, który swój rys działań wojennych w roku 1939 zatytułował *Bitwa polska, per analogiam* do „Bitwy o Anglię”<sup>3</sup>.

Tradycję okupacyjną i londyńską (!) ochoczo kontynuowano w Polsce powojennej, czego przykładem może być jedyna na długo krajowa synteza Jerzego Kirchmayera, dziś jednak o wartości wyłącznie antykwarycznej<sup>4</sup>. Z punktu widzenia władzy komunistycznej żywiony mitem „szosy zaleszczyckiej” termin „kampania wrześniowa” był wyjątkowo nośny propagandowo, ponieważ doskonale pasował do oskarżeń o ztratę państwowości w kilkanaście dni, w duchu ocen Władysława Mołotowa („bankructwo burżuazyjnego państwa polskiego”). Odwracano w ten sposób uwagę od walk na wschodzie, falsyfikując fakty i dokumenty, np. w kwestii walk Grupy Operacyjnej „Polesie” przeciwko obydwu najeźdźnikom. Później, na początku lat 60. ubiegłego wieku, zastosowano w interesującym nas kontekście określenie „wojna obronna”. Intencja była może i szlachetna, albowiem szło o uprawomocnienie przed moskiewskimi sędziami historii naszej wal-

<sup>2</sup> Por. choćby: M. Norwid-Neugebauer, *Kampania wrześniowa 1939 w Polsce*, Londyn 1941; J. Jaklicz, *Kampania wrześniowa 1939 r. w Polsce [w:] II XI 1941. Jednodniówka*, Grenoble 1942; H. Piątkowski, *Kampania wrześniowa 1939 roku w Polsce*, Jerozolima 1943; A. H[orak], *Edward Rydz, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych i Naczelny Wódz przed i podczas kampanii wrześniowej*, Warszawa 1943, druk konspiracyjny.

<sup>3</sup> R. Umiastowski, *Bitwa polska (Battle of Poland). Przygotowania i przebieg wojny polsko-niemieckiej w roku 1939*, z. 1–5, Londyn 1942–43.

<sup>4</sup> J. Kirchmayer, *Kampania wrześniowa*, Warszawa 1946.

ki w 1939 r. (nie „wojna burżuazyjna”, czy, o zgrozo, „imperialistyczna”, godna z założenia potępienia, ale „sprawiedliwa” – obronna), ale efekt i wrażenie, jakie budziło – fatalne. Termin, zgodny z tzw. marksistowską metodologią historii i przede wszystkim – sowiecką nowomową, był za to sprzeczny z elementarną logiką (*si vis pacem para bellum!*), doświadczeniem, a nawet teorią wojskową (Clausewitz). Jako jeden z pierwszych z zapalem forsował go czołowy fałszerz i notoryczny kłamca historii Eugeniusz Kozłowski, naukowy filar niesławnej i na szczęście byłej już pamięci Wojskowego Instytutu Historycznego<sup>5</sup>. Ostatnio w jego obronie w sposób wyjątkowo niezborny i żenujący intelektualnie wystąpił na łamach „Przeglądu Historyczno-Wojskowego” inny adept tej żalosznej instytucji – Piotr Stawecki.

Przełomem w walce o godną nazwę kampanii stało się dopiero ukazanie się napisanej poza oficjalnymi instytucjami naukowymi, a wydanej w 1972 r. i wkrótce wycofanej ze sprzedaży, znakomitej do dziś *Wojny polskiej* Leszka Moczulskiego<sup>6</sup>. Tytułowe określenie wydaje się najbardziej nośne propagandowo i pojęciowo, gdyż podkreśla wagę oporu II Rzeczypospolitej, stawiając go (i słusznie!) na jednej szali z funkcjonującymi w historiografii pojęciami „wojny na Pacyfiku” czy „wojny na Wschodzie”<sup>7</sup>. Kolejne próby odnalezienia innego jeszcze terminu, np. „Obrona Polski 1939”, wynikały z poszukiwania oryginalności, chyba już zbędnego...<sup>8</sup>

<sup>5</sup> E. Kozłowski, *Charakter wojny obronnej Polski w 1939 r.* [w:] *W dwudziestą rocznicę zwycięstwa*, Warszawa 1966, s. 221–233.

<sup>6</sup> L. Moczulski, *Wojna polska. Rozgrywka dyplomatyczna w przededniu wojny i działania obronne we wrześniu–październiku 1939*, Poznań 1972.

<sup>7</sup> W pełni podzielając prawomocność i sens jego zastosowania, nie użyłem go w tytule mojej broszury (*Kampania 1939 roku*, Warszawa 2001) celowo, aby nie popełniać plagiatu.

<sup>8</sup> Autor wymienionej pracy, Tadeusz Jurga, nie jest w roli dziejopisa kampanii zbyt

Fundamentalny charakter ma pytanie, jak II Rzeczpospolita i jej wojsko była przygotowana do owej „Polskiej Wojny”? Powszechnie sądzi się, że Marszałek Piłsudski pozostawił siły zbrojne w głębokim kryzysie, aby nie rzec – upadku. Jego następca tłumaczył potem, że „zastał stan mobilizacji grożący katastrofą, oparty na fikcji 46 dywizji, kiedy 30 dywizji było marzeniem nie do spełnienia; nie było ani jednego działka przeciwlotniczego, ani jednego pepanca, z wyjątkiem gratów z 1920”<sup>9</sup>. Wiele w tym racji, ale... subiektywnej. Pamiętajmy, że Rydz-Śmigły objął zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi w momencie, gdy gospodarka kraju, głęboko dotknięta Wielkim Kryzysem, zaczynała dopiero mozolną wspinaczkę, co dało możliwość realnego zwiększenia nakładów na wojsko. Choć za Piłsudskiego środków na modernizację po prostu nie było, niemniej planowano ją i przygotowywano na tyle głęboko, że gdy tylko pojawiły się jakiegokolwiek fundusze, można było zaoszczędzić wiele czasu i uruchamiać szybko przemyślane i wypracowane koncepcje.

Sumienne badania archiwalne prowadzone ostatnio przez Tymoteusza Pawłowskiego nad tzw. sześćioletnim planem rozbudowy sił zbrojnych zmuszają do głębokiej, optymistycznej rewizji poglądów w tej kwestii<sup>10</sup>. Miałem je, jak i inni, ukształtowane na podstawie znanej pracy wspomnianego już Eugeniusza Kozłowskiego, choć mocno zideologizowanej, ale

---

wiarygodny, jeśli ma się w pamięci jego współautorstwo *Wojny obronnej Polski 1939* (Warszawa 1971), arcydzieła WIH-owskiej sztuki półprawd, przekłamań i mataczenia prawdą, oraz jego własne dzieło *U kresu II Rzeczypospolitej* (Warszawa 1985) tchnące poprawnością polityczną... ale na modłę PRL-u.

<sup>9</sup> M. Wańkowicz, *Ostatnia rozmowa z Beckiem i Rydzem-Śmigłym* [w:] *Wrzesień 1939. Z problemów najnowszej historii Polski*, Warszawa 1972, s. 327.

<sup>10</sup> *Plan modernizacji Wojska Polskiego 1936–1942. Uwarunkowania ekonomiczne, technologiczne i społeczne*. Rozprawa, która ma być bronią w Instytucie Historycznym UW, znajduje się w recenzjach.

uchodzącej za rzetelną warsztatowo<sup>11</sup>. Tymczasem okazało się, że zgodnie z obyczajami naukowymi panującymi w WIH-u autor ów, celem udowodnienia nie tylko błędnej, ale i wrednej, politruckiej tezy o „klasowej słabości” armii II Rzeczypospolitej, nie tylko nagiął fakty, ale co gorsza **falszował** cytowane źródła, co powoduje natychmiastową konieczność wycofania jego „rozprawy” z obiegu naukowego<sup>12</sup>.

W świetle analizy Pawłowskiego okazuje się, że Wojsko Polskie reprezentowało w 1939 r. na tle europejskich i światowych potęg militarnych na ogół nowoczesne, a nawet najnowocześniejsze rozwiązania doktrynalne, organizacyjne i techniczne<sup>13</sup>. Niestety polegało jednak na tym, że musiało zmierzyć się z Wehrmachtem, który wprowadził nową jakość w zakresie tak taktyki, jak i strategii, dzięki czemu przez kilka lat nikt nie potrafił mu dorównać. Pamiętajmy też, bilansując opór II Rzeczypospolitej, że w drugiej fazie kampanii musiała walczyć samotnie już nie tylko z Niemcami, ale ze złowrogą brunatno-czerwoną koalicją.

Omawiając kolejno węzłowe problemy kampanii, nie sposób nie zatrzymać się na jej politycznej i strategicznej genezie. Świadomość istotnych celów polityki Adolfa Hitlera wobec Polski wciąż jest zaburzona późniejszą perspektywą. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że początkowo usiłował on

<sup>11</sup> E. Kozłowski, *Wojsko Polskie 1936–1939. Próby modernizacji i rozbudowy*, Warszawa 1974.

<sup>12</sup> Jest to kolejny przykład na konieczność rzetelnej lustracji dorobku historiografii PRL, bowiem podobne „arcydzieła” pokutują w nim do dzisiaj, mącąc w głowie młodym badaczom.

<sup>13</sup> Można tu wymienić choćby, jeśli idzie o broń – karabiny przeciwpancerne, działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze, czołgi 7 TP, „Łosie”, kontrtorpedowce typu „Błyskawica”, okręty podwodne typu „Orzeł” itd., itp. Co ciekawe, Niemcy, niestety poza Messerschmittem Me 109 i Junkersem Ju 87 („Stukasem”), które zapewniły im panowanie w powietrzu, nie dysponowali osiągnięciami technicznymi tej klasy.

nakłonić przywódców II Rzeczypospolitej do sojuszu, a potem po przełomowej rozmowie z min. Beckiem w Berchtesgaden, w której wyłożył karty na stół („każda dywizja polska, zaangażowana przeciw Rosji, jest oszczędzeniem odpowiedniej dywizji niemieckiej”)<sup>14</sup> po prostu ich do tego przymusić. Decyzję o zmianie całej koncepcji i harmonogramu prowadzenia wojny i skierowaniu pierwszego uderzenia na Polskę podjął nie bez wahań dopiero po udzieleniu jej brytyjskich gwarancji. Niewątpliwie właśnie przedwojenna polityka Wielkiej Brytanii wymaga nowego i szerokiego oświetlenia<sup>15</sup>. Do wojny przystąpiliśmy z jej inicjatywy i zachęty i nic nie zdejmie z Brytyjczyków moralnej odpowiedzialności za losy Polski i Polaków. Aspekt ten nabiera nowych znaczeń choćby w świetle ostatniej masowej fali naszej emigracji na Wyspy.

Na szczególne uwzględnienie i analizę, nawet symultaniczną, zasługują okoliczności i konsekwencje agresji sowieckiej. Czy gdyby nie nastąpiła, Polska miała szansę powstrzymać niemiecki napór? Do tezy tej, postawionej implicite przez Moczulskiego, która, przyznam, wydawała mi się nazbyt śmiała, nabieram coraz większego przekonania. Przypomnieć tu trzeba znamienity zapis w pamiętnikach ówczesnego płk. Stanisława Kopańskiego z 16 września: „Ogólna ocena sytuacji – pisał – zdawała się wskazywać na możliwość zorganizowania oporu na „przyczółku rumuńskim” i dalszego prowadzenia walki.[...] Plan dalszego prowadzenia walki w oparciu o pld.-wsch. część Małopolski miał pewne szanse realizacji.

<sup>14</sup> *Diariusz i teki Jana Szembeka*, t. IV, London 1972, s. 464.

<sup>15</sup> Ostatnio skrótowo, ale i zapładniająco, dokonali jej Lynn Picknett, Clive Prince i Stephen Prior w świetnej, obrazoburczej książce *Od własnej kuli. Tajna wojna między aliantami* (Warszawa 2007), w której zwracają też uwagę na słabo dostrzegalną w historiografii, a złowrogą, rolę dyplomacji amerykańskiej w rozpętaniu światowego konfliktu.



Tę ocenę sytuacji i możliwości naszych podzielał szef misji franc. gen. Faury [...] <sup>16</sup>. Niektórzy z kolegów dość optymistycznie uważali nawet, że moment przełomowy kampanii mamy poza sobą <sup>17</sup>. Powyższego świadectwa, już tylko z uwagi na osobę autora, lekceważyć nie sposób. Oczywiście trudno stwierdzić z pewnością, że istniały realne szanse, aby powstrzymać impet wroga, ale argumenty „za” nie są bezzasadne: kampania wkroczyła w drugą fazę, a walki miały odtąd toczyć się przy słabej infrastrukturze komunikacyjnej i w pogarszających się warunkach klimatycznych, co znacznie redukowało niemiecką przewagę techniczną. Hipoteza o szansie utrzymania „przyczółka rumuńskiego” jest zatem na tyle prawdopodobna, że wymaga poważnego przebadania (proponowałbym zespołowi historyków zastosowanie tu procedur wykorzystywanych w strategicznych grach komputerowych; jakież pole do popisu dla młodych entuzjastów!).

W tym punkcie zapominamy zwykle o czynniku najważniejszym, a pomijanym często przez polskich historyków za sprawą ignorancji albo niechęci do „gdybologii” (jak w pewnych kręgach określa się historię alternatywną). W moim głębokim przekonaniu (podziela je zresztą np. Moczulski <sup>18</sup>) Francuzi przygotowali się wariantowo do ograniczonej ofensywy, w takiej jednak skali, która zmusiłaby dowództwo niemieckie do przerzucenia części sił na Zachód. Postawmy zatem kropkę nad „i” i skończmy z bajką na temat „zdrady Paryża” (sam jej kiedyś hołdowałem!). Natarcie jednoczesne z uderzeniem sowieckim byłoby awanturnictwem i zaprzepaszczeniem szansy danej

<sup>16</sup> Por. L. Faury, *La Pologne terrassée* [cz. 4 :] *La débâcle*, „Revue historique des armées” 1953, nr 4, s. 136–137 (zapisy z 16 i 17.09.1939).

<sup>17</sup> S. Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939–1946*, Warszawa 1990, s. 88 i 89.

<sup>18</sup> Obaj daliśmy temu wyraz w dyskusji na temat kampanii w warszawskim Klubie Historycznym im. Gen. Stefana Roweckiego-„Grotą”, 17.09.2003.

aliantom przez opór Polski (pamiętajmy, że Francuzi, podobnie jak Brytyjczycy, zostali zaznajomieni przez Amerykanów z przeciekami Hansa von Herwartha, moim zdaniem zresztą w pełni kontrolowanym, ujawniającym treść tajnego protokołu do paktu Ribbentrop–Mołotow)<sup>19</sup>. Przypomnijmy też, że Stalin, mający dzięki swej agenturze<sup>20</sup> wgląd w najtajniejsze plany aliantów, intoksykował ich, a następnie, dla wszelkiej pewności, uprzedził potencjalną ofensywę gen. Gamelina. Gdyby zatem Sowietom nie ruszyli, zupełnie prawdopodobna odciążająca ofensywa francuska mogła wpłynąć w sposób rozstrzygający na sytuację w Polsce...

Zadziwiające, ale trudne, dlatego pomijane przez historyków pytanie, polega na próbie zaleźnienia powodów, dla których najwyższe władze Rzeczypospolitej do samego końca traktowały zagrożenie ze wschodu z zadziwiającą wręcz ślepotą<sup>21</sup>. Wydaje się, że zagadkę tę udało mi się w pewnej przynajmniej mierze wyjaśnić. Mężem zaufania ministra Becka i mentorem prezydenta Mościckiego w kwestii sowieckiej były attaché wojskowy w Moskwie, a następnie szef Departamentu Wschodniego MSZ ppłk Tadeusz Kobyłański. Na jego opinie neglizujące możliwości ofensywne Związku Sowieckiego zwracali dyskretnie uwagę w swych relacjach kompetentni oficerowie „dwójki”. Tymczasem, co wydało się parę lat temu,

---

<sup>19</sup> Kiedyż wreszcie poznamy w Polsce pełne stenogramy konferencji w Abbeville, na której najwyższe kierownictwo polityczno-wojskowe Francji i Wielkiej Brytanii zdecydowało o porzuceniu II Rzeczypospolitej?! Kwestia ta wymaga generalnych i zarazem fundamentalnych badań.

<sup>20</sup> Idzie tu o Eduarda Pffeifera, szefa gabinetu Edouarda Daladiera, premiera i ministra obrony.

<sup>21</sup> Zwracał na to ostatnio uwagę w swej świetnej monografii Marek Kornat (*Polska 1939 roku wobec paktu Ribbentrop–Mołotow*. [...], Warszawa 2002). Dawniejsza historiografia PRL miała tu kłamliwe, ale spójne tłumaczenie: winne były klasowe ograniczenia państwa, które nie pozwalały przyjąć mu sowieckiej pomocy.

Kobyłański był... agentem sowieckiego wywiadu! Dopiero teraz wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować, inaczej bowiem należałoby oskarżać polskiego ministra spraw zagranicznych o dyletantyzm polityczny na poziomie wręcz elementarnym...<sup>22</sup>

Są poważni nawet badacze, którzy nie przywiązują większej wagi do formalnego przemilczenia sowieckiego uderzenia przez władze polskie, są też nawet tacy, którzy dostrzegają pozytywne skutki osławionego rozkazu Rydza „Z Sowietami nie walczyć...”, np.... mniejsze straty i zniszczenia. *Veto!* Gdyby w lipcu 1941 r. należało najsamprzód przywrócić stan pokoju pomiędzy Polską a ZSRS, kwestii prawomocności granicy „ryskiej” sprzed 17 września nie dałoby się w żaden sposób pominąć najbardziej nawet wymownym milczeniem. A przecież podjęcie nad nią jak najszybszej dyskusji i ewentualne rozstrzygnięcia jeszcze w 1941 r., gdy Sowiety były jeszcze słabe i zdane na pomoc Zachodu, leżały w najżywotniejszym interesie Rzeczypospolitej.

W 1939 r. najbardziej racjonalnym rozwiązaniem dylematu polskiego Naczelnego Dowództwa – „Jak walczyć z Sowietami” byłoby ściągnięcie maksimum sił do stosunkowo dobrze ufortyfikowanego punktu i obrona go niczym reduty, przede wszystkim ze względów propagandowych. Wszystkie te warunki spełniał na Kresach, i to z nawiązką, Lwów. Z uwagi na niemałe skupienie pełnowartościowego wojska miasta można było bronić od wschodu kilka a nawet kilkanaście dni (Niemcy nie ryzykowaliby i nie mieliby potrzeby szturmowania

---

<sup>22</sup> Całą sprawę opisałem najbardziej wyczerpująco, jak to możliwe z uwagi na obecny stan badań, w artykule *Uwagi o działalności agentury sowieckiej na odcinku polskim po roku 1921* [w:] *Polski wywiad wojskowy 1918–1945*. Materiały pod red. Piotra Kołakowskiego i Andrzeja Peptońskiego, Toruń 2006, s. 102–119.

go od zachodu). Tytuły na czołówkach światowych gazet „Lwów broni się jeszcze” byłyby niewątpliwie jeszcze bardziej nośne propagandowo niż wcześniej wiadomości o Westerplatte. Wieść o „Wiernym Mieście” zapadłaby być może w pamięć niektórych przynajmniej polityków Zachodu<sup>23</sup>. I jeszcze jedno, nie bez znaczenia przecież. Każda godzina, przez którą dałoby się powstrzymać skutecznie sowiecki walec, dawała szanse tysiącom kresowych Polaków na umknięcie za Bug czy za południowe lub północno-wschodnie granice przed Armią Czerwoną, przed Ukraińcami i przed miejscowymi szumowinami, skłonnyimi pod czerwonymi sztandarami do krwawych, „klasowych” porachunków.

Nie powinno ulegać zatem wątpliwości, że ostateczną zagładę II Rzeczypospolitej przyniosła nie agresja niemiecka, ale dopiero napaść Związku Sowieckiego. To stwierdzenie jest równie ważne dla samej historii, jak i polityki historycznej, jaką ostatnio (ileż to lat za późno!) zaczął uprawiać nasz rząd, bowiem zgodnie z prawdą nakłada odpowiedzialność za tragedię II wojny światowej na Hitlera i Stalina po równo (pamiętajmy jednak przy tym, aby nie tracić z oczu roli Londynu i Waszyngtonu!).

Inne ważne pytanie. Po co Stalin pchał do Polski po 17 września wciąż nowe dywizje, aż do zaczopowania wszelkich dróg komunikacyjnych? Czym to objaśnić? Siłą inercji?! Niemożnością zmiany planów...? A może jednak sowiecki dyktator miał świadomość (wspartą posiadanymi w Berlinie pierwszorzędnymi źródłami informacji!), że Niemcy chcą rozegrać

---

<sup>23</sup> Wahania w tej kwestii miał nawet notoryczny polonofob, brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden. Jak zanotował to świadek jego rozterek, „żywił przeświadczenie, że byłoby źle, gdyby rząd brytyjski miał ustąpić wobec rosyjskich roszczeń do tego starego polskiego miasta” (cyt. za: N. Davies, *Powstanie '44*, Kraków 2004, s. 583).

kampanię we Francji bezpośrednio po zakończeniu działań w Polsce. Wtedy miałyby swobodę działania w każdym kierunku, od wymuszenia pod groźbą siły zmiany ustaleń zawartych w tajnym protokole do paktu Ribbentrop–Mołotow, po atak na Warszawę i Berlin... Przypomnijmy: wojska sowieckie liczyły, w pierwszym rzucie blisko 620 tys. żołnierzy. Ponieważ liczne uzupełnienia, nawet na szczeblu korpuśnym, docierały przez cały czas trwania kampanii, bezpośrednio po jej zakończeniu siły Armii Czerwonej w Polsce wzrosły do 2 500 tys. (!) ludzi. Była to armia wystarczająca na tym froncie (dość wąskim!) nawet dla podjęcia regularnej wojny z Niemcami.

Rozpamiętując ogólne tło kampanii, należy przypomnieć o kilku jeszcze jej często pomijanych aspektach. Godna stałej ekspozycji i wiecznego przypominania jest krzepiąca wiara w imponderabilia i moralność polityki postawa władz Królestwa Węgier. Idzie tu o oświadczenie, latem 1939 r., gdy stosunki II Rzeczypospolitej z Niemcami balansowały już na krawędzi wojny, premiera Pála Telekiego, który poinformował Hitlera, zapewniając go przy tym o całkowitym poparciu, iż „Węgry nie mogą ze względów moralnych przedsięwziąć akcji zbrojnej przeciw Polsce”<sup>24</sup>. Postawie tej nasi „bratankowie” pozostali wierni we wrześniu 1939 r. i później, mimo brutalnych nacisków Berlina, przede wszystkim dzięki determinacji regenta Mikłosa Horthy’ego, który zasługuje na ciepłe wspomnienie w każdej polskiej syntezie dziejów<sup>25</sup>.

<sup>24</sup> H. Batowski, *Pierwsze tygodnie wojny. Dyplomacja zachodnia do połowy września 1939 r.*, Poznań 1967, s. 140.

<sup>25</sup> Jeszcze w 1944 r. tłumaczył on emisariuszowi Hitlera, że Führer „za mało się liczył ze ścisłymi więzami, jakie z dawien dawna łączą naród węgierski z zaprzyjaźnioną Polską” (H. Guderian, *Wspomnienia żołnierza*, Warszawa 1991, s. 288).

Z postawą Węgrów kontrastuje zachowanie Słowaków. Ich **czynny** (jakby nie był symboliczny!)<sup>26</sup> **udział w wojnie** po stronie Niemiec, choć może być zrozumiany i wybaczony, nie powinien być zapomniany. O haniebnej roli Bratysławy świadczył niecodzienny przypadek jej posła w Warszawie Ladislava Szathmáry’ego, który tak właśnie oceniając politykę swych władz, wypowiedział im publicznie posłuszeństwo.

Oba przytoczone nazwiska świadczą nb. o bagażu kłamstwa, jakie niesienie nasza współczesna tradycja historyczna. Śmiem twierdzić, że na tabliczkach polskich miast wciąż pokutuje, i to w pełnej krasie, nazwisko Roosevelta, podczas gdy próżno by szukać na nich prawdziwych przyjaciół – rozpoznanych w biedzie – Horthy’ego i Szathmáry’ego.

Jeśli jesteśmy przy stosunkach z sąsiadami, pora wreszcie skończyć z podejmowanym stale samobiczowaniem z okazji tzw. Zaolzia. Uprzedzając kontrfaktyczne rozwiązania, wypada przytoczyć trafną diagnozę położenia geostrategicznego dokonaną przez marszałka Śmigłego: „Francja chętnie wmanewrowałaby Polskę do wojny [...], ale sama – mimo łączącego ją z Czechami sojuszu – zupełnie nie kwapiła się do poparcia Pragi z bronią w rękę. Wszystko więc przemawiało za tym, że gdyby Polska w jesieni 1938 r. wystąpiła po stronie Czechosłowacji – mocarstwa zachodnie zamiast czynnej pomocy udzieliłyby nam pochwały, a na wypadek wojny przyjęłyby wyczekującą postawę widza”<sup>27</sup>. Pamiętając o sposobie działania strony

<sup>26</sup> Sowietci/Rosjanie skrupulatnie wypominają do dzisiaj każdemu z narodów europejskich biorących udział w antybolszewickiej krucjacie na Wschodzie ich zaangażowanie w wojnie, nawet jeśli miałyby charakter symboliczny.

<sup>27</sup> E. Rydz-Śmigły, *Czy Polska mogła uniknąć wojny?* [w:] *Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, Warszawa 1989, s. 48. Wypowiedź ta znajduje bogate potwierdzenie w opublikowanych ostatnio pracach Piotra Majewskiego i Marka Deszczyńskiego.

czeskiej w 1920 r., z ludobójczymi praktykami i planowym mordowaniem polskich działaczy włącznie, trzeba zgodzić się z opinią Wacława Jędrzejewicza: „w wypadku Zaolzia konflikt zakończyły, gorzej czy lepiej, dwa zainteresowane państwa same”<sup>28</sup>. Dodajmy, wnosząc z demonstrowanego na gorąco stosunku Czechów do Polski w 1939 i 1940 r., raczej lepiej niż gorzej (w innym wypadku nie zgłaszałiby się oni ochotniczo do służby w Wojsku Polskim!).

Sam bieg kampanii nie budzi aż takich kontrowersji jak jej prolegomena i finalne oceny. Skłonny jestem wbrew większości badaczy bronić planu wojny marszałka Śmigłego. Jego dylemat ujął trafnie cytowany już gen. Faury: „Radzę spróbować rozwiązać problem natury strategicznej, wynikły z dysproporcji sił oraz środków, a zarazem położenia kraju szeroko otwartego, gdzie rozległość granic i ich zarys ułatwiały oskrzydlenie”<sup>29</sup>. O koncepcji obrony Naczelnego Wodza zadecydowały zarówno przesłanki polityczne, jak i gospodarcze. Istniało bowiem realne niebezpieczeństwo, że w razie uprzedniego wycofania większości wojsk polskich na linię Wisły, co podpowiadałyby niezmiennie zasady prowadzenia wojny, Niemcy zadowolą się okupacją opuszczonych w ten sposób terytoriów (Pomorze, Poznańskie, Śląsk), aby następnie, celem rzekomej lokalizacji konfliktu, odwołać się do mediacji mocarstw, które skądinąd, zwłaszcza Włochy i Francja, oczekiwały takich podszeptów. Walka wszystkimi siłami, od pierwszych minut wojny, stała się zatem strategiczną i polityczną koniecznością, gdyż jedynie

---

<sup>28</sup> P. Raina, *Stosunki polsko-niemieckie 1937–1939. Prawdziwy charakter polityki zagranicznej Józefa Becka*, Londyn 1975, s. 47. Politykę Czechosłowacji wobec Polski w dobie wojny polsko-bolszewickiej i czeskiego zaboru Śląska Zaolziańskiego wyczerpująco i obiektywnie przedstawił w swych badaniach Marek Kamiński.

<sup>29</sup> Cyt. za: *Wrzesień 1939. Z problemów najnowszej historii Polski*, s. 362.

w ten sposób można było wymusić dotrzymanie gwarancji złożonych przez naszych aliantów. Na kresach zachodnich znajdowało się nadto, pomimo budowy COP, właściwe centrum przemysłowe kraju oraz główne ośrodki mobilizacyjne polskiego rekruta. Ziem tych należało zatem bronić w sposób spektakularny, opuszczając je tylko w razie najwyższej konieczności. Inna kwestia, że zadanie to mogło być powierzone oddziałom Obrony Narodowej, wspieranym przez ruchliwsze jednostki kawalerii, które były w stanie sprawniej wycofać się w głąb kraju, gdzie na lepiej przygotowanych i dogodniejszych pozycjach zostałyby rozwinięte dywizje piechoty mające więcej czasu na ich należyte obsadzenie.

Zwrócić tu należy uwagę na jeszcze jeden aspekt całej kwestii. W najbardziej miarodajnej relacji szefa sztabu gen. Wacława Stachewicza pobrzmiewają echa kalkulacji marszałka, który widział kampanię w trzech etapach: bitwy granicznej, obrony linii „wielkich rzek” i, jak zakładał, po jej nieuchronnym przełamaniu – walki na „przedmościu rumuńskim”. Przyjęcie takiej kadencji wydarzeń i nieskupianie uwagi jedynie na najlepiej udokumentowanym pierwszym z nich, jak czyni to zazwyczaj z braku potwierdzenia źródłowego historiografia, nakazuje inną ocenę całej koncepcji.

Kiedy zaczęła się wojna?! Od pewnego czasu wnikliwsi badacze przesuwać moment jej rzeczywistego wybuchu o kilkanaście minut, w związku z przeprowadzonym wówczas nalotem na Wieluń. Chciałbym się upomnieć o inny fakt: o 4.34, a więc tuż przed oficjalnym terminem ataku, eskadra bombowców nurkowych (Stukasów) zbombardowała przyczółki mostu kolejowego w Tczewie.

Przebieg działań jest coraz bardziej drobiazgowo badany i mamy coraz więcej wrześnieowych monografii już nie tylko armii, ale dywizji piechoty i brygad kawalerii. Nieza-



stąpionym źródłem informacji pozostaje wciąż wzorowa praca płk. Mariana Porwita z lat 70. *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, pomimo narzuconej autorowi cenzury politycznej (wojna na jednym froncie, głuche milczenie o Sowietach)<sup>30</sup>. Inna sprawa, że bogactwo informacji szczegółowej nie owocuje syntezami, ale to powszechna słabość naszej historiografii: znajdujące się w apogeum rozwoju pokolenie 60-letnich historyków peerelowskich nie ma i nigdy nie miało wiele do powiedzenia, a ich następcy, wychowani już u początków III Rzeczypospolitej, do ujęć globalnych jeszcze najwyraźniej nie dojrżeli.

Historiografia września ma jedną kardynalną słabość, której nie jest w stanie przewyciężyć żaden pojedynczy badacz: **totalną** nieznamość działań strony niemieckiej, zwłaszcza **na podobnym stopniu szczegółowości**, jak WP. Klinicznym wprost przykładem paraliżu badań na skutek owej ignorancji jest opublikowana ostatnio wielotomowa praca Mariusa Emmerlinga *Luftwaffe nad Polską 1939*. Choć nie pozbawiona fundamentalnych, warsztatowych wad (autor nie bardzo umie prowadzić krytykę wykorzystanych źródeł), a także irytująca przekonaniem o własnej nieomyślności, dzięki obszernym cytatom dokumentów niemieckich i ich omówieniu rysuje zupełnie nowy obraz walki w powietrzu, nakazując jej opis od strony polskiej zupełnie na nowo<sup>31</sup>. Tyczy to np. wysokości strat materiałowych nieprzyjaciela, które należy zweryfikować o połowę lub jeszcze niżej, a także samego przebiegu walk

---

<sup>30</sup> Autorowi udało się pomimo ingerencji GUKPPiW przepchnąć w kilku miejscach czytelne dla bardziej wyrobionego czytelnika informacje o agresji sowieckiej i jej skutkach.

<sup>31</sup> W jej świetle skądinąd długo oczekiwana synteza dziejów lotnictwa polskiego w II wojnie światowej Jerzego B. Cynka utraciła, jeśli idzie o fragmenty dotyczące 1939 r., swą wartość.

(niektórych, rejestrowanych po stronie polskiej, po prostu nie było)<sup>32</sup>. Uwagę tę odnieść należy i do walk lądowych.

Na powyższy problem natknąłem się osobiście, próbując zweryfikować jedną z pięknych legend „września”. Gdy płk Bronisław Prugar-Ketling, stojący na czele 11. Karpackiej Dywizji Piechoty, doszczętnie rozbił w nocnym koncentrycznym ataku w Lasach Janowskich zagradzających mu drogę odwrotu Niemców, wieść o tym epizodzie, ku pokrzepieniu serc, obiegła całą Polskę. Legendę o rozbiciu dywizji SS albo co najmniej pułku zmotoryzowanego „Germania” podtrzymywała historiografia, ubarwiając ją opowieściami o samobójstwie czy nawet likwidacji jego dowódcy. Tymczasem w grę wchodzi co najwyżej tyłowy pododdział tej elitarniej jednostki, która nb. nie poniosła w kampanii wcale jakichś zatrważających strat!

Inny wrześniowy mit, od pewnego czasu mocno zresztą na szczęście nadwerżony, to kwestia dowództwa i koncepcji obrony Westerplatte. Spór mjr Henryk Sucharski – kpt. Franciszek Dąbrowski ma tymczasem ogromny walor wychowawczy, dotykając wiecznego dylematu, nie tylko zresztą Polaków, nie tyle bić się, czy nie bić, ale jak się bić najbardziej efektywnie i jaka może być dopuszczalna cena poświęcenia. Racje Sucharskiego, wojskowego racjonalisty, zderzyły się z poglądem romantyka Dąbrowskiego; historia przyznała rację obu, tyle że, o czym polskie piśmiennictwo milczy, nawet ten drugi skapitulował wobec brutalnej siły – **groźby** ataku, do

---

<sup>32</sup> Podobną operację, co najmniej z częściowym powodzeniem, usiłowałem przeprowadzić wiele lat temu w odniesieniu do całego wojennego dorobku Polskiej Marynarki Wojennej, w wyniku czego jej wymierne osiągnięcia musiały ulec znacznej redukcji w stosunku do uroszczeń historiografii. Por. *Polska Marynarka Wojenna i Handlowa w drugiej wojnie światowej (próba podsumowania)*, „Biuletyn Historyczny” 1985, nr 9, (wyd. Muzeum Marynarki Wojennej, Gdynia, s. 121–157).

którego na szczęście nie doszło. W podobnych okolicznościach poddały się garnizony Warszawy i Modlina – **przed** zapowiedzianymi generalnymi szturmami.

Z naturalnych powodów polska historiografia skupiała się do tej pory na jasnych stronach kampanii. Więcej zatem uwagi należy teraz poświęcić dziejom tych jednostek, które nie podejmowały spektakularnego oporu lub, nazywajmy rzeczy po imieniu, rozpierzchły się bez walki na sam dźwięk słowa „Niemcy” czy, co gorsza, jazgotu nadlatujących samolotów. I nie idzie tu o masochistyczne rozdrapywanie ran, ale tylko przedstawiając słabości wielu, będziemy mogli docenić bohaterstwo tych, którzy nie ulękli się ani Stukasów, ani czołgów.

Wstydliwą stroną „września” jest też rozdmuchiwana przez propagandę szpiegomania (nb. kiedy doczeka się ona całościowej, z pewnością nie prostej, oceny?!), która nie tylko prowadziła do tragicznych pomyłek (te zdarzają się na wojnie zawsze), ale i paraliżowała niektóre działania po stronie polskiej. Opracowania wymaga urastająca do rangi zbiorowej tragedii masowa ewakuacja – nakazana urzędów (wioski i miasta płonące na linii frontu pozostawały nie tylko bez policji, ale i straży pożarnej) i samorzutna cywilów, którą pobudził niefortunny apel płk. Romana Umiastowskiego. Efektem były nie tylko cierpienia i straty obywateli, ale i katastrofa komunikacyjna, wielokilometrowe zatory, które wprost paraliżowały ruchy polskich wojsk i spowalniały ich, zwykle i tak spóźnione, manewry. W tym kontekście nieco inaczej wyglądała kwestia uznanych powszechnie za zbrodnicze działań Luftwaffe; Niemcy działali racjonalnie i bombardowali szosy i linie kolejowe nie w celach terrorystycznych, ale, posługując się wojskową pragmatyką, dla ich zablokowania, podobnie jak alianci na Zachodzie w roku 1944 i 1945. Trudno zresztą

potępić ostrzelanie kolumny, w której wojsko mieszało się z cywilami...

Problemem z naturalnych powodów rozwiniętym w historiografii, co gorsza w świadomości polskich historyków rozwiniętym nierównomiernie, asymetrycznie, jest kwestia zbrodni wojennych obydwu agresorów. Znamy obszerną listę przestępstw niemieckich, z ujawnionym ostatnio, wspomnianym już powyżej bombardowaniem Wielunia włącznie, kilkoma wypadkami wystrzelania całych grup jeńców itp. Abstrahując od nie zawsze jednoznacznych okoliczności niektórych z owych faktów<sup>33</sup>, zbrodni tego kalibru i w tym wymiarze zapomnieć i po chrześcijańsku wybaczyć nie sposób, choć nie z chrześcijanami przecież mieliśmy w 1939 r. do czynienia. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak też pamiętać, że byli tacy generałowie Wehrmachtu jak Johannes Blaskowitz<sup>34</sup>, Gerd von Rundstedt i Wilhelm Ulex, którzy potrafili zdobyć się na ryzyko służbowego protestu przeciw masowym przestępstwom popełnianym przez ich współrodaków w trakcie kampanii. Niemcy i Prusacy uczciwi, którzy swą postawą bardziej zasłużyli... na dobrą pamięć (choć wrogowie) niż firmujący ludobójstwo lub wręcz do niego zagrzewający, generałowie

---

<sup>33</sup> Jak relacjonował mi to ostatnio prof. Bogdan Musiał, wedle najnowszych modnych badań młodych i postępowych (!) historyków niemieckich sprawa jednej z udokumentowanych zbrodni wojennych Wehrmachtu miała mieć podtekst... erotyczny. Winny wymordowania jeńców młodszy oficer był ponoć kochankiem zastrzelonego uprzednio przez Polaków w trakcie boju dowódcy jednostki. Przyznam, że w podobną historię – związek homoseksualny oficerów Wehrmachtu, po aferze von Fritscha i w świetle ustawodawstwa obowiązującego w III Rzeszy nie bardzo wierzę, widząc za to w podobnej interpretacji przykład głupoty, do jakiej prowadzi przejęcie się dość wątpliwą ideologią i nader mizerną metodologią tzw. *Gender Studies*.

<sup>34</sup> Nie ulega wątpliwości, że owe dobrze zapamiętane przez Hitlera protesty kosztowały Blaskowitza dobrze zasłużoną, choćby nad Bzurą, buławę feldmarszałka: był jedynym dowódcą szczebla armijnego z 1939 r., który jej nie otrzymał.

sowieccy, wszystkie te zbrodnicze Chruszczowy, Czujkowy czy Jerjomienki.

I właśnie, czyż aby szala zbrodni z drugiej strony nie jest równie mocno, jeśli nie mocniej obciążona? Pan Aleksander Kwaśniewski, będąc prezydentem Rzeczypospolitej, powtórzył za Władimirem Putinem jak za panią matką, że zbrodni niemieckich i sowieckich porównać się nie da. Istotnie: Niemcy nie poważyli się przecież zorganizować polskim oficerom pozostającym w ich mocy Katynia. A w trakcie samej kampanii? Nie znam przykładu, aby niemieccy żołnierze rozcinali jeńcom brzuchy i zabawiali się gonieniem ich przyjacielskimi sztychami czworokątnych bagnetów wokół studni, na której kołowrót tak zabawnie nawijały się i rozwijały jelita...<sup>35</sup>. Obrońcom Helu za zatopienie ostatnich polskich okrętów włos nie spadł z głowy, natomiast oficerów Flotylli Pińskiej za puszczenie na dno swych jednostek bestialsko zamordowano w Mokranach... Mimo wszystko była to z jednej strony Europa, Europa najbardziej wynaturzona i zbrodnicza, ale w jakimś stopniu ograniczona resztkami wspólnej etyki i kultury chrześcijańskiej, a z drugiej strony pełna azjatycka barbaria...

Nie zapominajmy jednak o własnych winach. Polscy historycy rozpisują się o pilotach Luftwaffe rozstrzeliwujących dyndających na spadochronach polskich pilotów. Tymczasem tajemnicą poliszynela w bardzo już szczupłym kręgu wrześnieowych pilotów był fakt, że polowali na zestrzelonych Niemców, kto wie, czy pierwsi nie wprowadzając owego nowego obyczaju do walk powietrznych. W tle pozostaje wymagająca wreszcie rzetelnego opracowania bydgoska „krwawa niedziela”. Oczywiście, pisać trzeba też o niemieckich represjach na Śląsku, Pomorzu i sowieckich na Kresach

---

<sup>35</sup> Relacja w posiadaniu autora.

oraz bohaterskim samorzutnym oporze członków Obrony Narodowej, harcerzy itd., zarówno na granicy zachodniej, jak i wschodniej.

Potrzebnych jest także kilka krytycznych słów o wrześnieowym panteonie. Sklecono go, z polityczną premedytacją, choć bez logicznego i merytorycznego składu i ładu w PRL i trwa do dziś. W Warszawie panuje np. powszechne przekonanie o niepowszednich zasługach gen. Juliusza Rómmla dla jej obrony, której, abstrahując od wcześniejszych dyskredytujących go jako oficera postępków, Rómmel był szkodnikiem. Mimo tego jeszcze ostatnio władze jednej ze stołecznych gmin uhonorowały mniemanego obrońcę skwerem czy uliczką. Ale co mówić o *vox populi*, jeśli przy swoim, z najszlachetniejszych bywa pobudek, tkwią zawodowi historycy. Jeden z nich, mój przyjaciel i badacz wielkiej rzetelności, prof. Krzysztof Komorowski, nie może np. pogodzić się ze skrajnie negatywnymi ocenami gen. Stefana Dęba-Biernackiego, którego biografię od lat przygotowuje.

Oczywiście, dowodzenie na szczyblu operacyjnym było w 1939 r. wysoce utrudnione katastrofalnym stanem łączności, zarówno w górę, do Naczelnego Wodza, jak i w dół. Przy miazdzącej przewadze materiałowej nieprzyjaciela polscy generałowie nie mogli sobie pozwolić na jakikolwiek błąd; nie tylko nie dawało się go już później naprawić, ale co gorsza jego skutki miały charakter kaskadowy, tak w czasie, jak i w przestrzeni. Świadomość tego nie zwalnia jednak badacza od konieczności wartościowania i może co najwyżej spowodować złagodzenie kryteriów.

Niewątpliwą trudność stanowi ocena Naczelnego Wodza. Generalnie rzecz biorąc, potwierdziła się diagnoza francuskich sojuszników, którzy opisywali marszałka Rydza-Śmigłego jako

„pozbawionego błyskotliwości”, mało inteligentnego, drobiazgowego, ale upartego i energicznego<sup>36</sup>. Marszałek istotnie wykazał w trakcie kampanii upór i energię, ale cechy te, przy braku odpowiedniego zaplecza intelektualnego, nie były w stanie zaważyć na biegu działań. Tym bardziej, że poniekąd na własne życzenie, najdalej po trzech dniach działań, utracił jakiegokolwiek możliwości realnego dowodzenia. Inna rzecz, godna jednak przypomnienia, że stan wojska, które w sumie tak dobrze przeszło wrześniową próbę, był wynikiem jego gorączkowej, ale i płodnej pracy na stanowisku generalnego inspektora Sił Zbrojnych.

Trudno mieć do Naczelnego Wodza pretensje o taką, a nie inną obsadę wyższych dowództw w chwili rozpoczęcia kampanii, albowiem pokojowe opinie personalne nie muszą sprawdzać się i często nie sprawdzają się na wojnie. Rydz musiał nadto zachowywać kadrową równowagę wobec dwu grup generalskich – przewidywanej do wojny przeciwko Niemcom i przeciwko Sowiecom (na większe przetasowania w 1939 r., gdy niebezpieczeństwo z zachodu stało się groźniejsze, nie było już czasu).

Nic nie usprawiedliwia jednak decyzji personalnych, jakie powziął już po niemieckiej agresji. Niewykorzystanie w żadnym określonym charakterze aż do 10 września gen. Kazimierza Sosnkowskiego, pomimo jego natarcywych prośb, musi zdumiewać, choćby tylko z racji uzasadnionego autorytetu, jakim cieszył się w wojsku. Z kolei oburzenie budzi powierzenie w kolejnej fazie działań kluczowego stanowiska dowódcy Frontu Północnego skompromitowanemu doszczętnie jako dowódca i oficer w początkowym etapie wojny

---

<sup>36</sup> M. Pasztor, *Polska w oczach francuskich kół rządowych w latach 1924–1939*, Warszawa 1999, s. 108.

gen. Dębowi-Biernackiemu, „przestępcy wojennemu, który bez bitwy pozwolił na rozbitcie swojej armii [„Prusy”] i dalej przestępczo nie chciał ująć w karby cofających się wojsk” – jak oceniał jego zachowanie w meldunku do Rydza jeden z podkomendnych, gen. Rudolf Dreszer<sup>37</sup>. Pod Tomaszowem, gdy jego chaotyczne dowodzenie doprowadziło do kryzysu tej może najważniejszej w całej kampanii bitwy, przebrawszy się w cywilne ubranie, ponownie zbiegł z pola walki, dając dowód nie tylko braku kompetencji wojskowych, ale i haniebnego tchórzostwa. Podobnie rzecz miała się z gen. Kazimierzem Fabrycem, który zasłaniając się rzekomą chorobą, nie tylko porzucił po przełamaniu przez Niemców linii obrony Sanu swą szykującą się do kontruderzenia Armię „Małopolska” i odjechał do Lwowa, zaprzepaszczając tym samym szanse koordynacji działań, ale następnie odmówił (!) powrotu na front. Nic dziwnego, że powierzenie mu zadania koordynacji obrony na „przyczółku rumuńskim” wywołało wręcz niedowierzanie oficerów sztabu Naczelnego Wodza, wprowadzonych co nieco w wydarzenia<sup>38</sup>. Wyjaśnieniem tych zadziwiających posunięć może być sam charakter Rydza. Marszałek Piłsudski miał mu w swoim czasie za złe, że bywał „co do otoczenia własnego [...] kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiegokolwiek spory”<sup>39</sup>. Czyż nie tłumaczy to odsunięcia gen. Sosnkowskiego, a także innych decyzji personalnych Naczelnego Wodza? Zarzut zbytnej poślizgniętości, a właściwie nieumiejętności wartościowania ludzi, obciąża zresztą także szefa Sztabu Naczelnego Wodza

<sup>37</sup> *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. 1: *Kampania Wrześniowa 1939*, cz. 3: *Przebieg działań od 9 do 14 września*, Londyn 1959, s. 576.

<sup>38</sup> S. Kopański, *op. cit.*, s. 84.

<sup>39</sup> *Generałowie polscy w opinii J. Piłsudskiego*, wyd. M. Ciepłewicz, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1966, nr 1, s. 327.



gen. Stachiewicza. Wiedząc o karygodnym, kwalifikującym się do rozpatrzenia przez doraźny sąd wojskowy postępku dowódcy Armii „Łódź” gen. Rómmla, który po lotniczym bombardowaniu swego sztabu, lekko tylko kontuzjowany, zbiegł wraz z towarzyszącymi oficerami do Warszawy, pozostawiając wszystko na łasce losu, nie tylko nie wyciągnął z tego należnych konsekwencji, ale i akceptując w roli dowódcy Grupy Armii „Warszawa”, obdarzył go kolejnym zadaniem, i to pierwszorzędnej wagi. Skutki, jak wiemy, okazały się fatalne: Rómml, nie pojmując tego, co dzieje się wokół stolicy, nie chciał udzielić na jej przedpolach pomocy ani wojskom gen. Wiktora Thommée, ani wesprzeć krwawiących nad Bzurą oddziałów generałów Tadeusza Kutrzeby i Władysława Bortnowskiego.

Jeśli nota Naczelnego Wodza nie może być w tej sytuacji mimo wszystko pozytywna, to jeszcze gorzej wypadają oceny większości jego bezpośrednich podkomendnych. I tu, co prawda, istnieje poważna okoliczność łagodząca w postaci nimbu tajemnicy, którym Rydz otaczał nie tylko swoje zamiary, ale i umiejscowienie, i zadania sąsiadów poszczególnych armii, przez co ich dowódcy bardzo szybko zdani zostali na improwizację, ale, globalizując opinię, należy stwierdzić, że dowodzenie operacyjne po stronie polskiej stało relatywnie na niskim poziomie i okazało się bodaj najśłabszym elementem wrześnieowego wojaka.

Oceny dowódców muszą być czytelne. Poczynając od szczebla armii, powyżej przeciętnej zaprezentował się jedynie Sosnkowski oraz generałowie Antoni Szylling, Thommée (aż dziw bierze, że pamiątniki obydwu, tak wiele wnoszące do oceny kampanii, tkwią od dziesiątków lat w archiwalnych szafach)<sup>40</sup> i adm. Józef Unrug.

---

<sup>40</sup> Mały to kamyczek do dorobku szacownego WIH-u, także po 1989 r.!

Gen. Szylling kierował Armią „Kraków” z wielką rozważą i zimną krwią, unikając rozwiązań ryzykanckich, a wybierając optymalne. Dzięki temu, kilkakrotnie oskrzydłany i otaczany, zdołał przeprowadzić ją bez efektownych, ale przegranych wielkich bitew znad granicy aż na Lubelszczyznę, wypełniając w ten sposób najskrupulatniej instrukcje Naczelnego Wodza. Stawiany mu niekiedy zarzut, że wymuszona na marszałku 2 września zgoda na wycofanie Armii „Kraków” doprowadziła do **przedwczesnego** poderwania zawiasu operacyjnego wojsk polskich, jaki miała stanowić, świadczy o słabej znajomości zamiarów strony niemieckiej. Skutki ewentualnego samobójczego poświęcenia Szyllinga byłyby bowiem o wiele groźniejsze niż uporządkowany odwrót jego wojsk. Odsłoniłoby to całkowicie lewe skrzydło polskiego ugrupowania i przekreśliło, już w pierwszych dniach wojny, jakiejkolwiek możliwości obrony przedmościa rumuńskiego, a tym bardziej – ewakuacji na południe.

Gen. Thommée nie tylko potrafił naprawić przestępczy błąd Rómmla i ocalić dywizję Armii „Łódź” przed rozproszeniem i zagładą, ale potem zorganizować i sprawnie przeprowadzić obronę Modlina, która stanowi jedną z najjaśniejszych kart całej kampanii. Jeden z jego podwładnych, mjr Władysław Naprawa, pisał: „dał się poznać jako człowiek o niesłychanej energii, tężyznie i żołnierskim fasonie. Nie było widać po generale jakiegoś załamania się, a przeciwnie, podnosił nas wszystkich na duchu, wierząc, że sytuacja wcale nie jest beznadziejna, a kryzys wojny będzie opanowany”<sup>41</sup>.

Kontradm. Unrug, choć można mieć zastrzeżenia do niektórych jego decyzji, zwłaszcza w kwestii operacyjnego użycia floty, sprawował dowództwo nad całością obrony

---

<sup>41</sup> *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. 1, cz. 3, s. 189.

wybrzeża twardo i nad wyraz poprawnie. Pogląd ten należy podtrzymać, pomimo zarzutów, jakie postawił mu w opublikowanej ostatnio biografii Mariusz Borowiak, wyrażając jednak w sumie ocenę pozytywną<sup>42</sup>; admirał dużo lepiej kończył, niż zaczynał, a to świadczy o klasie nie tylko dowódcy, ale i człowieka. Warto też przypomnieć o jego pełnej najwyższej godności postawie w niemieckiej niewoli, na co, niestety, nie potrafili zdobyć się wszyscy polscy generałowie.

Dowodzenie grupami operacyjnymi było bodaj jeszcze trudniejsze, dlatego też jego ocena musi być jeszcze bardziej stonowana. Generałowie, którym je powierzano, często już w trakcie kampanii, obejmując doraźnie zebrane oddziały nie dysponowali zazwyczaj ani koniecznym instrumentarium (sztaby!), ani niezbędną wiedzą na temat stanu i rzeczywistych możliwości swych wojsk. Pośród nich dobrze zasłużyli się Ojczyźnie: Franciszek Kleeberg (wykazał charakter, którego brakowało wielu, wielu innym), Wilhelm Orlik-Rückemann (wciąż zapomniany, mimo że jego nazwisko powinny znać wszystkie polskie dzieci z najpierwszej czytanki o Wrześniu, jako jedyne dowódcy, który potrafił wziąć na siebie cały ciężar symbolicznej walki z Sowietami)<sup>43</sup>, Stanisław Jagmin-Sadowski (choć, pełen temperamentu, nie zawsze zgadzał się z gen. Szyllingiem), Roman Abraham (który jednak wpisał się do historii kampanii przede wszystkim jako bojowy dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii) i Wincenty Kowalski (musiał z kolei łączyć dowodzenie grupą operacyjną z komendą 1. DPLeG.). Wyliczając ich zasługi, przypomnijmy ważny, acz

<sup>42</sup> Por. M. Borowiak, *Admirał. Biografia Józefa Unruga*, Gdańsk 2004, s. 153–154.

<sup>43</sup> Dopiero ostatnio pojawiła się pierwsza monografia omawiająca udział KOP-u w walkach na obydwu frontach polskiej wojny (J. R. Prochowicz, *Formacje Korpusu Ochrony Pogranicza w 1939 roku*, Warszawa 2003).

oczywisty fakt: przez swą instynktowną decyzję marszu na Zachód Orlik-Rückemann i Kleeberg ocalili swych oficerów przed Kozielskiem i Katyniem, a żołnierzy – przed sowieckimi łagrami i równie morderczymi strojbatami.

Dobrze lub lepiej niż dobrze bili się też na czele Wielkich Jednostek pułkownicy: Stanisław Maczek (jeden z nielicznych, który nie dał się do końca walk rozbić przeciwnikowi), Prugar-Ketling (autor jednego z piękniejszych, choć mocno wyolbrzymionego, taktycznego zwycięstwa w kampanii), Julian Filipowicz (choć taktyczny sukces jego Wołyńskiej Brygady Kawalerii pod Mokrą jest, jeśli idzie o straty zadane niemieckiej 4. Dywizji Pancerniej, mocno przeszacowany), oraz Adam Epler (walczący pod komendą swego przełożonego, Kleeberga, i z bolszewikami, i z Niemcami).

Nie ma na liście chwały Kutrzeby, który, przy wszystkich swoich niepowszednich zaletach intelektu i zasługach współautora jedyne polskiego kontruderzenia o wymiarze strategicznym, zaprzepaścił karygodną miękkością szanse na o wiele większy i korzystniejszy jego efekt<sup>44</sup>. Nie powinno to jednak dziwić. Dobrze znający go gen. Thommée zauważał, że „chwiejność i wahanie częstokroć przeszkadzały mu w wykonaniu raz powziętych decyzji”. Potwierdzał to podkomendny Kutrzeby, gen. Abraham: „jego wartości dowódcze **umniejszała** [podkreślenie – P.W.] wysoka kultura osobista i zbyt daleko posunięte poczucie koleżeństwa, co powodowało brak żołnierskiej bezwzględności w zdecydowanym wymuszaniu powziętych decyzji. Raczej dyskutował i uzgadniał działania niż rozkazywał”<sup>45</sup>. Musiał wiedzieć o tym Śmigły, wszak

<sup>44</sup> Przypomina to trochę zachowanie Helmutha Moltkego Mł. w 1914 r., który, wypuszczając z rąk cugle dowodzenia, nie potrafił zapanować nad swoimi dowódcami armii nad Marną.

<sup>45</sup> W. Thommée, *Ze wspomnień dowódcy obrony Modlina 13–28 września 1939*

znający Kutrzebę bardzo dobrze i od dawna. Inna kwestia, że być może sądził, że w nieuchronnym etapie kampanii w tandemie Kutrzeba–Bortnowski górę weźmie ten drugi, którego miał prawo oceniać wysoko, m.in. za energię i odważne decyzje. Płk Stefan Rowecki, wydający opinie miarodajne dla ówczesnej elity wojskowej, widział w nim np. „bardzo tęgiego dowódcę armii”, dodając: „myślę, że się nie mylą ci, którzy na niego stawiają”<sup>46</sup>. Po namyśle usunąłem z polskiego panteonu także płk. Dąbka, który ostatnią kulą musiał okupić swe nie najlepsze dowodzenie. Umiejętność ładnej śmierci nie stanowi jeszcze o walorach dowódczych, co poświadczają przykłady generałów Mikołaja Bołtucia czy Stanisława Grzmota-Skotnickiego.

Charakterystyczne, iż przykład, dobry i zły, szedł z góry. W armiach generałów Szyllinga i Thomméeo dowódcy niższego szczebla bili się co najmniej poprawnie, podczas gdy u negatywnych bohaterów kampanii Dęba-Biernackiego, Rómmla czy Bortnowskiego – dywizjonerzy i brygadierzy zbyt często zawodzili. W Armii „Łódź” wojska opuściło aż trzech dowódców, gen. Bończa-Uzdowski oraz pułkownicy Hanka-Kulesza i Dojan-Surówka. Dowódca 28. DP, „który drapnął do Warszawy”<sup>47</sup>, odnalazł się po kilku dniach w Modlinie, gdzie z łaski gen. Thomméeo został przywrócony, jedynie nominalnie, na dawne stanowisko. Opamiętał się także Hanka-Kulesza, oficer o świetnej tradycji z Legionów (był uczestnikiem legendarnego „patrolu Beliny” w 1914 r.), zapisując

---

roku [w:] *Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, s. 458; R. Abraham, *Wspomnienia wojenne znad Warty i Bzury*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1966, nr 1, s. 180 (fragment złagodzony w wydaniu książkowym).

<sup>46</sup> S. Rowecki, *Wspomnienia i notatki autobiograficzne (1906–1939)*, Warszawa 1988, s. 97.

<sup>47</sup> W. Thommée, *op. cit.*, s. 461.

ładną kartę w końcowym etapie kampanii. Dojan-Surówka, który choć miał „przeszłość bojową dobrą”, uchodził za człowieka „wygodnego”, któremu „nic się nie chce robić”, odznaczający się do tego „lenistwem pracy, a nawet myślenia”<sup>48</sup>, okazał się jednym z pierwszych wojskowych, którzy znaleźli się poza granicami Rzeczypospolitej, i to jeszcze przed uderzeniem sowieckim. Zagubili się w większości również podkomendni Dęba-Biernackiego, bijąc się źle i bez przekonania, którzy, jak gen. Gustaw Paszkiewicz i płk Ignacy Oziewicz, pierwszy skarżący się na sercowe niedomagania, drugi lekko draśnięty, zdradzali chęć jak najszybszego oderwania się nie tylko od przeciwnika, ale i własnych, pozostawionych samopas żołnierzy.

Nie popisał się nawet skądinąd prawy i szlachetny gen. Bołtuć, który dostrzegając źdźbło tkwiące w oku zwierzchnika gen. Bortnowskiego (uważał za swój „największy śmiertelny grzech”, że nie „wlepił mu kuli w łeb” i trudno się z nim nie zgodzić)<sup>49</sup>, nie potrafił dostrzec belki w swoim – bowiem i jego błędem zawdzięczać należy mającą strategiczne konsekwencje porażkę Grupy Operacyjnej „Wschód”, którą dowodził (poniesioną w równym boju, jeden na jeden!).

I smutna prawda, którą niestety należy co jakiś czas powtarzać: nieproporcjonalnie mało legionistów zapisało kampanię po stronie dowódczych sukcesów... Na wojnie okazało się, że elementarna rutyna od najniższych stopni wyniesiona z armii zaborczych jest więcej warta niż najszczerzy zapal, który zresztą u wielu podkomendnych Marszałka, różnych Dębów i Fabrycych, dawno przygasł lub wręcz się wypalił.

Bohaterowie Września nie doczekali zazwyczaj należnego uznania za życia. W wojskowej ekipie gen. Władysława

<sup>48</sup> S. Rowecki, *op. cit.*, s. 99.

<sup>49</sup> W. Thommée, *op. cit.*, s. 461.

Sikorskiego na wychodźstwie liczyły się tylko dwa atuty: polityczne koneksje i... czas przybycia do Francji. Na czele wielkich jednostek stanęli zatem zarówno Prugar-Ketling i Maczek, którzy w pełni sobie na to zasłużyli wrześnieowymi bojami, jak i inni, wspomniany gen. Dreszer czy gen. Paszkiewicz, którzy w kampanii nie wykazali się niczym godnym uwagi. Oburza potraktowanie płk. Eplera, który trafiwszy do PSZ jesienią 1940 r. nie otrzymał faktycznie żadnego przydziału i przede wszystkim – Orlika-Rückemanna, który daremnie zabiegał (!) o przyjęcie do wojska. Z kolei, wbrew buńczuczным zapowiedziom, na niczym skończyło się śledztwo w sprawie Dęba-Biernackiego, który jeśli w ogóle poniósł karę, to za próby politycznego frondowania w wojsku, a nie haniebną postawę we wrześniu.

Zamysł polityczny dominował także w ocenach powojennych, i to zarówno nad Wisłą, jak i nad Tamizą. W PRL-u Rómmla, tylko dlatego, że poddany ostracyzmowi w szeregach PSZ, powrócił do kraju, nominowano do roli „bohaterskiego obrońcy Stolicy”, a od pewnego czasu ciepło pisano tam również o Kutrzebie, a potem Klebergu, ponieważ umarli niejako na czas i nie zdążyli zaangażować się w polityczne działania powojennej emigracji. Wielki dowódca Września gen. Thommée żył natomiast w Polsce w nędzy i poniewierce. Na emigracji, w Londynie i Nowym Jorku także wyżej ceniono koteryjne powiązania i polityczne układy niż rzeczywiste zasługi. Wszak główną rolę grał tam Władysław Anders, który i we wrześniu, jak i potem, pod Monte Cassino, nie okazał talentów na miarę powierzonych mu funkcji, podczas gdy Maczek, Szylling czy Sosabowski, najwybitniejsi polscy dowódcy tej wojny, pozostawali w jego szarym tle. Należne uznanie przynosi im, i to bardzo niespiesznie, tylko Klio na kartach dzieł swych najbardziej dociekliwych adeptów...

Hitler, oceniając wnioski płynące z kampanii, stwierdził, iż „gdyby Polska miała broń przeciwpancerną, zwycięski pochód nie byłby możliwy”<sup>50</sup>. Istotnie, kliny czołgowe, a także lotnictwo odegrały w niej rolę decydującą. O druzgocącej przewadze materiałowej Wehrmachtu, tak bardzo niedocenianej przez polskie Naczelne Dowództwo, stanowiła nie tyle jakość posiadanego sprzętu (masy niemieckich czołgów składały się w lwiej części z lekkich pojazdów i ustępowały najnowszym modelom polskim serii 7 TP), ile jego ilość i doktryna zmasowanego użycia. Warto podkreślić także inny pomijany często czynnik. Głównym środkiem walki po stronie polskiej musiała być w warunkach obrony przeciwpancernej artyleria, używana zresztą często do bezpośredniego zwalczania czołgów, która, pomimo wielkich strat ponoszonych zazwyczaj w trakcie odwrotów, sprawiała się w ogólnej ocenie dobrze. Lotnictwo – wedle opinii swego dowódcy – także „spełniło zaszczytnie swą skromną rolę”<sup>51</sup>; bez zarzutu wykonywała swe obowiązki niewielka flota wojenna. Trzeba podkreślić, bo znowu sprzeczne to ze stereotypami, że w szczególnych warunkach kampanii chlubną kartę zapisała polska kawaleria, która nie okazała się bynajmniej anachronizmem, i to nie tyle dzięki spektakularnym szarżom, ale swym niedocenianym walorom zaporowym. Mobilna i nieźle wyposażona w działka przeciwpancerne okazała się w istocie najbardziej skutecznym środkiem hamowania postępów niemieckich czołgów. Dzięki możliwości konnego marszu jej jednostki potrafiły w późniejszych etapach kampanii

---

<sup>50</sup> F. Halder, *Dziennik wojenny. Codzienne zapisy szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych 1939–1942*, t. 1: *Od kampanii polskiej do zakończenia ofensywy na Zachodzie (14.8.1939–30.6.1940)*, Warszawa 1971, s. 126 (zapis z 27 września 1939).

<sup>51</sup> J. Zając, *Dwie wojny. Mój udział w wojnie o niepodległość i w obronie powietrznej Polski*, London 1964, s. 222.



skuteczniej i dłużej wymykać się przeciwnikowi niż o wiele bardziej znużona fizycznie odwrotowymi marszami piechota. To na niej jednak spoczywał główny wysiłek wojenny. Gen. Faury, w swej sporządzonej po zakończeniu kampanii analizie, podkreślał, że gdy „piechota niemiecka nacierała bez wsparcia czołgów i lotnictwa, piechota polska dowiodła przewagi swego wyszkolenia i morale, zadając przeciwnikowi ciężkie straty”<sup>52</sup>. Niestety! wypadki takie należały do rzadkości.

To krótkie *tour d'horizont*, nie wyczerpując katalogu wszystkich problemów, ukazuje jednak, ile jeszcze „wrześniowa” historiografia ma przed sobą.

---

<sup>52</sup> Cyt. za: T. Jurga, *Obrona Polski 1939*, s. 339.